

LUCY MAUD MONTGOMERY

ANNE Z AVONLEA

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

Anne of Avonlea

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Oddając Czytelniczkom i Czytelnikom nowy przekład jednej z najbardziej kultowych powieści, jestem świadoma „zdrady” popełnianej wobec pokolenia ich matek i babć, do których zresztą zaliczam też siebie. Tak jest – razem z wydawcą tego przekładu doszliśmy do wniosku, że w czasach, kiedy wszystkie dzieci wiedzą, że żadna mała Kanadyjka nie ma na imię Ania, Janka czy Zosia, a żaden Kanadyjczyk nie nosi imienia Mateusz czy Karolek, pora przywrócić wszystkim, nie tylko wybranym (jak w poprzednich przekładach), bohaterkom i bohaterom książki ich prawdziwe imiona, nazwom geograficznym na Wyspie Księcia Edwarda zaś ich oryginalne brzmienie. Podejmując się kolejnego przekładu (a w ostatnich latach nastąpił prawdziwy ich wysyp), postawiłam sobie za cel jak najściślejszą wierność wobec oryginału i realiów życia w wiosce Avonlea, która chociaż fikcyjna, miała jednak swój pierwowzór w prawdziwej miejscowości Cavendish. Odwiedziłam w tym celu liczne fora internetowe, blogi i grupy na Facebooku poświęcone życiu i twórczości Lucy Maud Montgomery. Należą do nich osoby, które doskonale znają wszystkie jej książki, także w oryginale, i od lat analizują nowe prze-

kłady, bezlitośnie demaskując nawet najmniejsze błędy i nieścisłości. Każda z nich ma swoje zdanie na przykład w kwestii tłumaczenia nazwy „Green Gables”, od ponad stu lat znanej w Polsce jako „Zielone Wzgórze”. W sieci dostępne są zdjęcia z PEI (Prince Edward Island), można więc sobie obejrzeć, jak wyglądają słynne „czerwone drogi” czy odtworzona na podstawie opisu w książce i korespondencji autorki farma rodzeństwa Cuthbertów. Dzięki uprzejmości Bernadety Milewski (autorki bloga „Kierunek Avonlea”), która nie tylko jest kopalnią wiedzy o LMM, zna na wyrywki wszystkie jej książki i tropi w nich z dociekliwością detektywa wszystkie autobiograficzne wątki, ale też co roku spędza na PEI kilka miesięcy i współpracuje z L.M. Montgomery Literary Society, mogłam dowiedzieć się, jak istotne dla autorki było słowo *gable*. Niestety nazwa ta już od pierwszego przekładu sprawiała tłumaczom kłopoty. *Gable* po angielsku to termin architektoniczny oznaczający trójkątną ścianę łączącą dwie części dwuspadowego dachu. Po polsku jest to „szczyt”. Słowo „szczyt” Polakom kojarzy się głównie z górami, dlatego już pierwsza tłumaczka zmieniła oryginalne Green Gables na Zielone Wzgórze, które tak wryło się w pamięć kolejnych pokoleń, że aż do tej pory nikt nie odważył się zbadać, czy tam w ogóle było jakieś wzgórze. Otóż nie było. Ale to nie dlatego zdecydowałam się zrobić wyłom w tradycji i nazwać ten dom Zielone Szczyty. Zrobiłam to po tym, jak przyjrzałam się na zdjęciach tamtejszemu budownictwu, w którym właśnie te szczyty najbardziej rzucają się w oczy. Niektóre domy mają ich po kilka; istnieje książka Nathaniela Hawthorne’a pod tytułem *The House of Seven Gables* [Dom o siedmiu szczy-

tach], którą L.M. Montgomery czytała w roku 1903. Swoją pokój w domu dziadków Macneillów, u których się wychowała, nazywała zawsze *gable room* i tę nazwę (*east gable room*) nadała też pokoikowi Anne. Było to dla niej niemal magiczne miejsce, o którym napisała nawet kilka wierszy. W swoich pamiętnikach wspomina, jak bardzo cierpiała, kiedy zimą musiała sypiać na dole, bo jej *gable room* nie był ogrzewany. W tłumaczeniach nazywano go zwykle „pokoiem na facjatce” albo „na poddaszu”. Tymczasem był to po prostu pokój na pierwszym piętrze, z oknem we wschodniej (trójkątnej) ścianie szczytowej. Obok niego znajdował się pokój gościnny, a po przeciwnej stronie – pokój Marilli oraz *west gable room* (pokój w zachodnim szczycie). Wyżej był już tylko strych (tam Anne wyniosła podręczniki po zakończeniu roku szkolnego i urządziła próby deklamacji z jękami).

| 7

Podsumowując, przyznaję się do winy: zabiłam Anię, zburzyłam Zielone Wzgórze i pozbawiłam je pokoiku na facjatce. Proszę jednak o łagodny wymiar kary, zważywszy na to, że ktoś kiedyś musiał się podjąć tego niewdzięcznego zadania.

Za absolutnie bezcenne informacje serdecznie dziękuję Bernadecie Milewskiej, autorce bloga „Kierunek Avonlea”, oraz Panu Stanisławowi Kucharzykowi, który od lat bada florę PEI, a swoją wiedzę dzieli się na blogu „Zielnik L.M. Montgomery”. To on jest pomysłodawcą nieoficjalnej (bo oficjalnej brak) polskiej nazwy *mayflowers* (majowniki), ulubionych kwiatów LMM [*Epigaea repens*], o których autorka często wspomina w swoich książkach.

Anna Bańkowska

Mojej dawnej nauczycielce
Hattie Gordon Smith
z wdzięczną pamięcią o jej
wrozumiałości i inspiracji

*Gdzie stąpnie, tam rozkwita kwiat
Na drogach powinności,
Przy niej surowy życia trud
Jawi się cudem piękności.*

J.G. Whittier

NA SZEROKIM PROGU z czerwonego piaskowca farmer-
skiego domu na Wyspie Księcia Edwarda siedziała wy-
soka, szczupła panna lat szesnastu i pół, o poważnych
szarych oczach i włosach, których kolor życzliwe jej osoby
nazywały kasztanowym. Miała szczerzy zamiar zrobienia
sporych postępów w tłumaczeniu Wergiliusza, ale... było
sierpniowe popołudnie. Błękitne mgiełki igrały na zbo-
zczach z dojrzałym zbożem, wietrzyk szeptał coś figlarnie
w koronach topoli, a płonące czerwienią maki kołysały się
tanecznie w rogu wiśniowego sadu na tle zagajnika mło-
dych świerków. Wszystko to bardziej sprzyjało marzeniom
niż studiowaniu martwych języków. Dlatego też Wergiliusz
wkrótce zsunął się na ziemię, a Anne, z głową opartą na
spłcionych dłoniach i wzrokiem utkwionym w puszystych
białych chmurkach nad domem pana Harrisona, pogrą-
żyła się bez reszty w jakimś dalekim, rozkosznym świecie.
W świecie tym pewna młoda nauczycielka dokonywała cu-
dów, kształtując losy przyszłych mężów stanu i podsycając
w młodych umysłach wzniosłe ambicje.

Prawdę rzekłszy, gdyby spojrzeć na sprawę trzeźwym
okiem (co Anne zdarzało się tylko w ostateczności), to ra-

czej trudno byłoby się dopatrzeć w uczniach avonleaskiej szkoły materiału na wybitne osobistości. Nigdy jednak nie wiadomo, co się wydarzy, jeśli nauczycielka użyje swoich wpływów we właściwy sposób. Anne miała już pewne różowo zabarwione wizje tego, co może osiągnąć, jeśli tylko zabierze się do sprawy jak należy; właśnie przeżywała w myślach uroczą scenę rozgrywającą się za czterdzieści lat, kiedy to pewien sławny człowiek (z czego konkretnie sławny, Anne nie bardzo wiedziała, ale mógłby to być na przykład rektor uniwersytetu albo premier...) pochyła się nad jej pomarszczoną dłonią, zapewniając, że właśnie ona, jego nauczycielka z dawnych lat, pierwsza rozbudziła w nim ambicję i wszystkie swoje sukcesy zawdzięcza jej lekcjom w wiejskiej szkole. Niestety z tego rozkosznego stanu rozmarzenia została wyrwana w wyjątkowo brutalny sposób.

Ścieżką galopowała w jej stronę nieduża krowa dżersejka, a pięć sekund później nadbiegł pan Harrison, chociaż „nadbiegł” wydaje się zbyt łagodnym określeniem na sposób, w jaki wtargnął na podwórze. Nie czekając na otwarcie furtki, przeskoczył przez płot i z czerwona ze złości twarzą ruszył prosto do Anne, która zdążyła już wstać i teraz patrzyła na niego w oszłomieniu. Pan Harrison był ich nowym sąsiadem i do tej pory znała go tylko z widzenia.

Na początku kwietnia, zanim Anne wróciła do domu z Queen's, pan Robert Bell, którego farma sąsiadowała z Cuthbertami od zachodu, sprzedał ją i przeniósł się do Charlottetown. Posiadłość nabył niejaki J.A. Harrison, o którym poza nazwiskiem wiedziano tylko tyle, że pochodził z Nowego Brunszwiku, ale już w niecały miesiąc

później zyskał sobie w Avonlea opinię osobnika nieco... specyficznego. Pani Rachel Lynde, która nigdy nie owijała prawdy w bawełnę, o czym dobrze wiedzą ci z was, którzy już ją poznali, nazwała go po prostu „dziwadłem”. Pan Harrison rzeczywiście mocno różnił się od innych, a to właśnie, jak powszechnie wiadomo, jest charakterystyczną cechą wszystkich dziwaków.

Przede wszystkim mieszkał sam i publicznie ogłosił, że nie chce u siebie widzieć żadnych głupich bab, za co żeńska część Avonlea zemściła się, snując różne przerażające opowieści na temat jego sposobu gospodarowania. Jako pierwszy zaczął je rozgłaszać mały John Henry Carter z White Sands, którego pan Harrison zatrudnił do pomocy. Po pierwsze, w tym domu nigdy nie jadło się o stałych porach. Pan Harrison „przegryzał coś”, kiedy poczuł się głodny, i jeśli John Henry akurat był pod ręką, to coś z tego dostawał, a jeśli nie, to musiał czekać do następnej okazji. Chłopak skarżył się, że gdyby nie niedzielne wizyty w domu, pewnie zagłodziłby się na śmierć. Tam dopiero najadał się do syta, a w poniedziałek rano matka zawsze przygotowywała mu na drogę koszyk z wałówką.

Na kwestię zmywania naczyń pan Harrison też miał własny pogląd: po prostu czekał z tym na deszczową niedzielę. Wtedy zakasywał rękawy, zmywał wszystko w beczce na deszczówkę i zostawiał do wyschnięcia.

Do tego jeszcze miał węża w kieszeni. Poproszony o zadeklarowanie składki na pensję pastora Allana, odpowiedział, że musi najpierw przekonać się, ile dolarów zyska, słuchając jego kazań, bo nie zamierza kupować kota w worku. A kiedy pani Lynde przysłała do niego z prośbą

o dołożenie się do zbiórki na misje (i przy okazji zajrzała do wnętrza domu), oznajmił, że wśród starych plotkarek z Avonlea jest więcej pogaństwa niż gdziekolwiek na świecie, dlatego chętnie sygnalizuje groszem na fundusz ich nawracania, jeśli pani Rachel podejmie się takowy utwórzyć. Kobięcina wzięła nogi za pas, a potem rozgłosiła wszem wobec, że na szczęście pani Robertowa Bell śpi spokojnie w grobie, bo inaczej serce by jej pękło na widok opłakanego stanu swojego domu, którym zawsze tak się chlubiła.

– Toć ona co drugi dzień szorowała podłogę w kuchni – mówiła z oburzeniem do Marilli Cuthbert. – A gdybyś widziała teraz ten brud! Musiałam unosić spódnicę, kiedy tam weszłam!

Na domiar złego pan Harrison miał u siebie papugę imieniem Imbir. Nikt nigdy w Avonlea nie trzymał papugi i choćby dlatego uznano tę fanaberię za godną pogardy. I cóż to była za papuga! Jeśli wierzyć słowom Johna Henry'ego, nie istniał na tym świecie bardziej bezbożny ptak. Przede wszystkim kłęła jak szewc. Pani Carter natychmiast kazała synowi wracać do domu, gdyby tylko mogła znaleźć mu inną pracę. Poza tym kiedy pewnego razu chłopak nieopatrznie pochylił się zbyt nisko nad klatką, Imbir uszczypnął go boleśnie w kark. Pani Carter pokazywała wszystkim ślad, gdy tylko John Henry przyjechał na niedzielę.

Wszystkie te historie przelatywały przez głowę Anne, kiedy pan Harrison, wściekły tak, że aż nie mógł mówić, stał przed jej obliczem. Nawet w najlepszym humorze nie mógłby uchodzić za przystojnego: był niski, gruby i łysy, z okrągłą, kipiącą ze złości twarzą i wyłupiastymi niebie-

skimi oczami, toteż Anne z miejsca uznała go za najbrzydszą ludzką istotę, jaką w życiu widziała.

Po chwili nieproszony gość odzyskał głos.

– Dłużej tego nie zniosę! – wybuchnął. – Ani jednego dnia, słyszysz, panna? Na mą duszę, to już trzeci raz, TRZECI, czy to jasne? Cierpliwość ma swoje granice, a ostrzegałem ciotkę panny, żeby to się więcej nie powtórzyło... A jednak się powtórzyło, dopuściła do tego! Sam już nie wiem, co mam o tym myśleć, i dlatego tu jestem!

– Zechce pan mi wyjaśnić, o co właściwie chodzi? – wycedziła Anne przez zaciśnięte zęby, prostując się z godnością. Ćwiczyła ten ton i pozę od pewnego czasu, zamierzając wykorzystać je w szkole, ale na panu Harrisonie nie warły najmniejszego wrażenia.

– O co?! O co?! A o to, na mą duszę, że nie dalej jak pół godziny temu znów przyłapałem krowę pani ciotki w moim owsie! Trzeci raz, uważasz, panna? Zastałem ją tam w ubiegły wtorek, a potem wczoraj, więc przyszedłem do pani ciotki i zapowiedziałem, żeby mi to było ostatni raz. A jednak znów na to pozwoliła! Gdzie jest pani ciotka? Po prostu chcę powiedzieć jej w oczy, co ja, J.A. Harrison, o tym sądzę!

– Jeśli ma pan na myśli pannę Marillę Cuthbert, to po pierwsze, nie jest ona moją ciotką, a po drugie, nie ma jej w domu. Pojechała odwiedzić ciężko chorą krewną w East Grafton – wyjaśniła chłodno Anne. – Bardzo mi przykro, że MOJA krowa wtargnęła w pański owies... Moja, bo ta krowa należy do mnie, a nie do panny Cuthbert. Dostałam ją od Matthew trzy lata temu jako małe cielętko, które kupił od pana Bella.

– Przykro? Pannie jest przykro? To nie załatwia sprawy. Proszę pójść i zobaczyć, co to bydłę zrobiło z moim owsem. Jest całkiem stratowany, moja panno!

– Naprawdę bardzo mi przykro – powtórzyła Anne z naciskiem – ale gdyby bardziej dbał pan o swój płot, Dolly nie dałaby rady go sforsować. To do pana należy ten odciniek, który oddziela pańskie pole od naszego pastwiska, i już jakiś czas temu zauważyłam, że jest w kiepskim stanie.

18 | – Mój płot jest w całkowitym porządku – warknął pan Harrison, jeszcze bardziej rozeźlony przeniesieniem pola walki na jego stronę. – Tej diablicy nie powstrzymałby nawet mur więzienny. I powiem ci coś więcej, ty rude chuchro – dodał, zerkając na Boga ducha winnego Wergiliusza u jej stóp. – Jeśli to rzeczywiście twoja krowa, lepiej zajmij się jej pilnowaniem zamiast siedzieć tu z nosem w jakimś powieścidle!

W tym momencie poza włosami Anne, które zawsze stanowiły jej najczulszy punkt, zapłonęło coś jeszcze...

– Wolę mieć rude włosy niż tylko kilka kłaczków koło uszu!

Strzał okazał się celny, bo pan Harrison był bardzo przewrażliwiony na punkcie swojej łysiny. Gniew znów odebrał mu mowę, więc tylko łypnął na swą przeciwniczkę, która zdążyła się już opanować i postanowiła iść za ciosem.

– Ustąpię panu, ponieważ mam wyobraźnię. Doskonale rozumiem, jakie to musi być straszne, kiedy zastanie się cudzą krowę w swoim owsie, dlatego nie będę chować do pana urazy za obraźliwe słowa. Obiecuję, że Dolly już nigdy nie przekroczy granic pańskiego pola. Daję panu na to słowo honoru.

- No dobra, niech tak będzie - mruknął pan Harrison nieco łaskawszym tonem, ale kiedy odchodził, Anne długo jeszcze słyszała, jak burczał coś gniewnie pod nosem.

Mocno zdenerwowana, przeszła przez podwórze i zamknęła niesformą dżersejkę w zagrodzie. „Stąd się nie wydobędzie, chyba że obali płot. Wygląda na całkiem spokojną... Oby tylko nie rozchorowała się po tym owsie. Szkoda, że nie sprzedałam jej panu Shearerowi, kiedy mi to proponował w zeszłym tygodniu, ale chciałam poczekać do aukcji i wystawić ją razem z resztą bydła. To jednak prawda, że z pana Harrisona istny dziwak. No i kto jak kto, ale on z pewnością nie ma w sobie nic z pokrewnej duszy”.

| 19

Anne zawsze umiała wyczuć pokrewną duszę.

Marilla Cuthbert zajęła na podwórze, akurat kiedy jej wychowanka wróciła do domu i zabrała się do parzenia herbaty. Potem, już przy stole przedyskutowały całą sprawę.

- Oby aukcja szybko się skończyła - westchnęła Marilla. - Takie stado to stanowczo za duża odpowiedzialność, kiedy właściwie nie ma nikogo do pomocy, bo na tym Martinie w ogóle nie można polegać. Zobacz, dotąd go nie ma, a miał wrócić wczoraj wieczorem, jeśli go puszcze na pogrzeb ciotki, tak mi przyrzekł. Nie wiem, ile on ma tych ciotek, skoro w ciągu ostatniego roku umarła mu już czwarta. Nie mogę się doczekać końca żniw, bo wtedy nareszcie pan Barry przejmie farmę. A Dolly musimy trzymać w zagrodzie, dopóki Martin nie wróci. Trzeba ją wyprowadzać na dalsze pastwisko, no i powinno się naprawić ogrodzenie. Życie to same kłopoty, jak mawia Rachel. Weź na przykład taką Mary Keith: właśnie umiera, a co się stanie z jej dziećmi, jeden Pan Bóg wie. Ma brata w Ko-

lumbii Brytyjskiej i nawet do niego pisała, ale dotąd nie odpowiedział.

– Jakie są te dzieci? W jakim wieku?

– Ponad sześć lat. Bliźniaki.

– Ach, mnie zawsze interesowały bliźnięta, jeszcze za czasów pani Hammond – zaciekała się Anne. – Ładne są?

– Trudno powiedzieć... były tak strasznie brudne! Davy akurat lepił babki z błota, kiedy Dora wyszła zawołać go do domu. Wepchnął ją w największą babkę, a ponieważ się rozplakała, sam też wskoczył w błoto, żeby jej pokazać, że nie ma się czym przejmować. Mary mówi, że Dora jest naprawdę grzecznym dzieckiem, ale Davy to straszny łobuziak. Zresztą nie miał kto go wychować. Ojciec umarł, kiedy Davy był niemowlęciem, a Mary od tamtego czasu choruje.

20 |

– Zawsze żał mi dzieci, których nikt nie wychowywał – powiedziała smutno Anne. – Wiesz przecież, że i o mnie nikt się nie troszczył, póki nie trafiłam do was. Mam nadzieję, że wuj się nimi zajmie. Właściwie jak jesteś spokrewniona z ich matką?

– To w ogóle nie jest moja krewna. Jesteśmy spowinowaczone przez jej męża, naszego dalekiego kuzyna. O, idźcie Rachel. Pewnie chce się dowiedzieć czegoś o Mary.

– Tylko nie mów jej o panu Harrisonie i krowie – poprosiła Anne.

Marilla przyrzekła, ale na nic się to nie zdało, bo pani Lynde jeszcze dobrze nie usiadła, a już je poinformowała:

– Widziałam, jak pan Harrison wyganiał z owsa waszą dżersejkę. Akurat wracałam z Carmody... Ależ był wściekły! Bardzo się awanturował?

Anne i Marilla ukradkiem wymieniły rozbawione spojrzenia. W Avonlea mało co umykało czujnemu oku pani Lynde. Zaledwie rano Anne zauważyła: „Jeżeli udasz się o północy do swojego pokoju, zaryglujesz drzwi, zaciągniesz story i kichniesz, następnego dnia pani Lynde zapyta cię, jak tam twój katar”.

– Chyba tak – przyznała Marilla. – Mnie przy tym nie było. Całą złość wylał na Anne.

– To bardzo nieprzyjemny człowiek – dodała ta ostatnia, potrząsając rudą głową.

– Święta prawda – przyznała z powagą pani Rachel. – Wiedziałam, że zanoszą się na kłopoty, już kiedy Robert Bell sprzedał farmę przybyszowi z Nowego Brunswiku, ot co! Nie wiem, co dalej będzie z Avonlea, tyle obcych osób tu się ostatnio wpycha. Niedługo nawet we własnym łóżku nie zaznamy spokoju.

– Tak? – zdziwiła się Marilla. – A co to za jedni?

– Nie słyszałaś? No więc po pierwsze, rodzina Donnellów. Wynajęli stary dom Petera Sloane’a. Ten Donnell ma teraz prowadzić jego młyn. Pochodzą ze wschodu i nikt nic o nich nie wie. Poza tym sprowadza się tu z White Sands rodzina tego niedojdy Timothy’ego Cottona i jak nic będzie ciężarem dla społeczności. On sam jeśli nie kradnie, to choruje na gruźlicę, a jego żona ma dwie lewe ręce do wszystkiego. Podobno zmywa naczynia na siedząco! A znów pani Pye przygarnęła osieroczonego bratanka swojego męża i ten Anthony jest już zapisany do naszej szkoły. Trafi pod twoje skrzydła, Anne, więc przygotuj się na kłopoty, ot co! Będziesz zresztą miała jeszcze jednego nowego ucznia: Paul Irving przyjeżdża tu ze Stanów, żeby zamieszkać ze swoją

babcią. Pamiętasz jego ojca, Marillo? To Stephen Irving, ten, który wystawił do wiatru Lavendar Lewis z Grafton.

– Nie sądzę, żeby to on ją zostawił. Podobno się pokłócili i wina była po obu stronach.

– W każdym razie nie ożenił się z nią i od tej pory ona kompletnie zdziwaczała. Mieszka całkiem sama w tym kamiennym domku, który nazywa Chatką Ech. A Stephen wyjechał do Stanów, wszedł w spółkę ze swym wujem i wziął za żonę jakąś Jankeskę. Nigdy już tu nie przyjechał, chociaż jego matka kilka razy go odwiedziła. Dwa lata temu owdowiał i teraz ma przysłać chłopca na jakiś czas do babci. Paul ma dziesięć lat i raczej nie będziesz miała z niego pociechy. Z tymi Jankesami nigdy nic nie wiadomo.

22 |

Pani Lynde na osoby, które miały nieszczęście urodzić się poza Wyspą Księcia Edwarda, patrzyła tak samo podejrzliwie jak współcześni Chrystusowi na mieszkańców Nazaretu*. To oczywiście mogli być porządni ludzie, ale wolała im nie dowierzać, a już ze szczególnym uprzedzeniem odnosiła się do tak zwanych Jankesów. Pewien przedsiębiorca z Bostonu, u którego pracował kiedyś jej mąż, oszukał go na dziesięć dolarów i żadne moce ziemskie czy niebieskie nie przekonałyby pani Rachel, że całe Stany Zjednoczone nie są temu winne.

– Trochę świeżej krwi szkole nie zaszkodzi – zauważyła sucho Marilla. – A jeśli ten chłopiec chociaż trochę przypomina ojca, to na pewno nie ma na co narzekać. Steve

* „Czyż może być co dobrego z Nazaretu?”, Ewangelia wg św. Jana 1,47. Cytaty z Nowego Testamentu za: Pismo Święte Nowego Testamentu, przeł. ks. Eugeniusz Dąbrowski, Warszawa 1951. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Irving był najmilszym chłopcem w okolicy, chociaż niektórzy uważali, że zadziera nosa. Pani Irving musi się ogromnie cieszyć na przyjazd wnuka, bo od śmierci męża czuła się bardzo samotna.

– Miły czy niemiły, i tak będzie się różnił od naszych – orzekła pani Lynde, jakby to przesądzało sprawę. Jej opinie dotyczące osób, miejsc czy rzeczy zawsze nosiły piętno ostatecznego wyroku. – Ale, ale, Anne, podobno zakładacie jakieś Koło Entuzjastów, które ma zmuszać ludzi do wprowadzania ulepszeń?

| 23

– Rzeczywiście, poruszyłam ten temat na ostatnim zebraniu Klubu Dyskusyjnego – przyznała Anne, czerwieniąc się. – Pomysł chwycił, popierają go też państwo Allan. Wiele takich kół już powstało w okolicznych wsiach.

– No, no... Chyba nie wiesz, w co się pakujesz. Lepiej daj sobie z tym spokój, ot co! Ludzie nie lubią, jak się ich do czegoś zmusza.

– Ależ my nie chcemy nikogo zmuszać! Nam chodzi tylko o to, żeby Avonlea stało się jeszcze ładniejsze. Na przykład czy nie byłoby dobrze, gdyby się udało przekonać pana Leviego Boultera do zburzenia tej strasznej rudery na jego farmie?

– O, co racja, to racja! – przyznała pani Rachel. – Ta ruina jest nam od lat solą w oku. Ale już widzę, jak udaje się wam skłonić Leviego Boultera, żeby bezinteresownie zrobił coś dla społeczności... Nie chcę cię zniechęcać, Anne, bo może rzeczywiście gra jest warta świeczki, chociaż pewnie wzięłaś ten pomysł z jakiegoś jankeskiego piśmidła, ale przecież będziesz miała w szkole pełne ręce roboty. Dlatego radzę ci po przyjacielsku: odpuść sobie te ulepszenia, ot co!

Chociaż wiem, że jak sobie nabijesz czymś głowę, to postawisz na swoim, zawsze to umiałaś.

24 | Stanowcza linia ust dziewczyny utwierdziła tylko panią Lynde w tej opinii. Anne całym sercem dążyła do utworzenia Koła Entuzjastów Avonlea. Także Gilbert Blythe bardzo się zapalił do tego pomysłu. Miał wprawdzie pracować w White Sands, ale czas od piątku do poniedziałku spędzać w domu. Zresztą większość ich wspólnych znajomych gotowa była poprzeć każdy projekt, który zakładał częste spotkania i związane z nimi rozrywki. Co zaś do samych „ulepszeń”, to poza Anne i Gilbertem nikt jeszcze nie miał żadnych konkretnych wizji. Ci dwoje zdążyli już omówić i zaplanować sobie wszystko w najmniejszych szczegółach, aż przynajmniej w ich głowach powstała nowa idealna wioska.

Pani Rachel miała w zanadrzu jeszcze jedną nowinę:

– Szkołę w Carmody obejmuje niejaka Priscilla Grant. Czy to czasem nie twoja koleżanka z Queen's?

– Tak! Priscilla w Carmody, co za wspaniała wiadomość! – Szare oczy Anne rozblęły z radości jak gwiazdy, a pani Lynde po raz kolejny uznała, że chyba nigdy nie uda się jej rozstrzygnąć, czy Anne Shirley jest ładna czy też nie.

NASTĘPNEGO DNIA Anne z Dianą Barry wybrały się do Carmody na zakupy. Diana oczywiście była gorliwą członkinią Koła Entuzjastów i obie przyjaciółki przez całą drogę rozmawiały wyłącznie o tym.

– Przede wszystkim musimy odmalować świetlicę – zasugerowała Diana, kiedy mijaly dość obskurny budynek w osłoniętej świerkami kotlinie. – Wygląda wprost haniebnie i trzeba się tym zająć nawet przed ruderań pana Boultera. Tata zresztą mówi, że Levi Boulter w życiu nie da się przekonać, bo szkoda mu będzie czasu na burzenie tej budy.

– Może pozwoli rozebrać ją chłopakom, jeśli obiecują porąbać mu deski na podpałkę? Musimy zrobić, co w naszej mocy, i nie przejmować się, że z początku będzie szło jak po grudzie. Nie możemy oczekiwać, że od razu wszystko ulepszymy. Będziemy musieli najpierw wykształcić w ludziach postawę obywatelską.

Diana nie bardzo wiedziała, co to jest „postawa obywatelska”, ale brzmiało to ładnie, więc poczuła się dumna, że należy do społeczności, która ma w perspektywie tak szczytne cele.

– Wczoraj w nocy wymyśliłam coś, co moglibyśmy zrobić. Pamiętasz ten trójkątny kawałek gruntu u zbiegu dróg do Carmody, Newbridge i White Sands? Jest cały zarosnięty samosiejkami świerków. Czy nie byłoby dobrze powyrywać je i zostawić tylko trzy brzozy, które zawsze tam rosły?

– Cudownie! – zapaliła się Anne. – I postawić pod nimi ławeczkę. A na wiosnę urządzić na środku klomb i posadzić pelargonie!

26 | – Tak, tylko trzeba będzie namówić panią Sloane, żeby nie puszczala krowy na drogę, bo zeżarłaby nam wszystkie kwiaty. – Diana parsknęła śmiechem. – Zaczynam rozumieć, o co ci chodzi z tym kształceniem postaw obywatelskich. A oto i stara chałupa Boulterów. Widziałaś kiedy taką ruinę, i to przy samej drodze? Opuszczone budynki bez okien zawsze przywodzą mi na myśl trupa z wydłubanymi oczami.

– Dla mnie każdy stary niezamieszkały dom to smutny widok – westchnęła Anne. – Mam wrażenie, że rozmyśla o swojej przeszłości i żałuje dawnych radosnych chwil. Marilla mówi, że w tym akurat mieszkała kiedyś duża rodzina i był to naprawdę ładny budynek ze ślicznym ogrodem i pnącymi różami, wypełniony dziecięcym gwarem, śmiechem i śpiewem. Teraz zieje pustką, nikt do niego nie zagląda, a po pokojach hula wiatr. Jak smutno i samotnie musi się czuć! Może w księżycowe noce oni wszyscy wracają... duchy małych dzieci z dawnych lat, róże, piosenki, a wtedy stary dom może przez chwilę marzyć, że znów jest młody i radosny?

Diana pokręciła głową z naganą.

– Ja już nie wyobrażam sobie takich rzeczy. Pamiętasz, jak moja mama i Marilla zgniewały się na nas za Nawiedzony Las? Do dziś czuję się nieswojo, kiedy przechodzę tamtędy po zmroku, a gdybym jeszcze zaczęła fantazjować na temat tej ruiny Boultera, to też bałabym się tu chodzić. Zresztą te dzieci żyją, są dorosłe i dobrze się mają, jeden z chłopców został rzeźnikiem. A kwiaty i piosenki nie mają żadnych dusz.

Anne stłumiła westchnienie. Bardzo kochała Dianę i zawsze zależało jej na tej przyjaźni, ale już dawno się przekonała, że kiedy przekracza granice królestwa fantazji, musi dalej iść sama. Tą zaczarowaną ścieżką nawet najbliższe jej osoby nie mogły za nią podążać.

Podczas ich pobytu w Carmody przeszła krótką, lecz gwałtowną burzę; w drodze powrotnej zachwycał je widok gałęzi usianych błyszczącymi kropelkami i ostry zapach wilgotnych paproci w dolinkach. Ale zaledwie skręciły w boczną drogę do Zielonych Szczytów, Anne ujrzała coś, co popsulo jej wszystkie uroki krajobrazu.

Przed nimi po prawej stronie rozciągał się wielki szarozielony zagon mokrego owsa pana Harrisona, a w samym jego środku stała dżersejska krowa, która patrzyła na nie chłodno znad bujnego, sięgającego jej po brzuch zboża.

Anne rzuciła lejce i wstała z zaciśniętymi wargami, co czworonożnej szkodnicy nie wróżyło niczego dobrego. Bez słowa zeskoczyła na ziemię i śmignęła przez płot, zanim Diana zdążyła zrozumieć, co się stało.

– Anne, wracaj! – krzyknęła. – Zniszczysz sobie sukienkę w tym mokrym owsie! Nie słyszy... Ale przecież nie da sobie sama rady z tą krową, to jasne, że muszę jej pomóc.

Anne przedzierała się przez owies jak w amoku. Diana zeskoczyła z bryczki i przywiązała konia do słupka. Potem zarzuciła na ramiona spódnicę ładnej kraciastej sukienki i pobiegła za swoją szaloną przyjaciółką. Poruszała się szybciej niż Anne, którą krępowała przemoczona, oblepiająca ciało suknia, toteż wkrótce ją dogoniła. Obie zostawiły za sobą wydeptany szlak, na którego widok panu Harrisonowi chyba pękłoby serce.

28 | – Anne, na litość, zatrzymaj się wreszcie! – sapała biedna Diana. – Już mi tchu braknie, a ty przemokłaś do gołej skóry!

– Muszę... dorwać... tę krowę... zanim... pan Harrison... ją zobaczy. Nic mnie... nie obchodzi... że jestem mokra... Muszę i już!

Ale dżersejka nie widziała powodu, by dać się wygonić z tak luksusowego żerowiska. Gdy tylko zdyszane dziewczyny zaczęły się do niej zbliżać, zrobiła w tył zwrot i bryknęła na drugi koniec pola.

– Zabiegnij jej drogę! – wrzasnęła Anne. – Szybko, Diana, szybko!

Diana robiła, co w jej mocy, Anne także, ale złośliwe bydlę biegało po całym polu jak opętane, zresztą zgodnie z przewidywaniem Diany. Minęło dobrych dziesięć minut, zanim wreszcie zagoniły buntownicę przez przerwę w rogu ogrodzenia na stronę Cuthbertów.

Nie ma co zaprzeczać; w tym momencie Anne bynajmniej nie była w anielskim humorze. I w najmniejszym stopniu nie ułagodził jej nawet widok stojącej przy drodze bryczki, w której siedział pan Shearer z Carmody z synem, obaj uśmiechnięci od ucha do ucha.

- I co, Anne, nie lepiej było sprzedać mi tę krówkę tydzień temu, jak proponowałem? - zapytał.

- Mogę ją panu sprzedać choćby zaraz! - odparła czerwona ze złości i rozczochrana właścicielka. - Za minutę może należeć do pana.

- Załatwione! Dam za nią dwudziestaka, tak jak obiecałem, i mój Jim zabierze ją prosto do Carmody. Wieczorem trafi z resztą inwentarza na statek. Akurat pan Reed z Brighton pytał mnie o dżersejską krowę.

Pięć minut później Jim Shearer i dżersejka maszerowali w górę drogi, a krowka Anne z dwudziestoma dolarami w kieszeni jechała do Zielonych Szczytów.

- Co na to powie Marilla? - zainteresowała się Diana.

- Ach, wcale się nie przejmie. Dolly była moją własnością, a na aukcji raczej nie daliby za nią więcej. Gorzej, że pan Harrison zobaczy zdeptane zboże i od razu się domyśli, że grasowała tam znowu, a przecież dałam mu słowo honoru, że to się nie powtórzy! No cóż, mam teraz nauczkę, żeby nie ręczyć honorem za krowy. Zwłaszcza za taką, która wyrywa się z zagrody i tratuje ogrodzenie.

Marilla była właśnie u pani Lynde, a kiedy wróciła, okazało się, że wie już wszystko o sprzedaży Dolly, bo pani Rachel widziała całą transakcję z okna, a reszty się domyśliła.

- Może to i dobrze, żeśmy się jej pozbyły, chociaż powiem ci, że naprawdę zbyt pochopnie podejmujesz decyzje. Zresztą nie rozumiem, jak ona wydostała się z zagrody. Musiała chyba wyłamać deski.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzić, ale zaraz tam pójde. Martina dotąd nie ma, może mu jeszcze jakieś ciotki umarły. Chyba to tak jak z panem Peterem

Sloane'em i seniorami. Któregoś dnia jego żona, czytając gazetę, zobaczyła, że umarł „kolejny senior”. Nie знаła tego słowa, więc zapytała: „Co to jest senior, Peter?”. On też nie wiedział, ale jej wytłumaczył, że pewnie chodzi o bardzo chorowitych ludzi, bo słyszy się o nich, dopiero kiedy umierają. Pewnie tak samo jest z tymi ciotkami Martina.

30 | – Martin jest zupełnie jak ci wszyscy Francuzi – zauważyła z niesmakiem Marilla. – W ogóle nie można na nich polegać.

Jakiś czas później przeglądała zakupy Anne z Carmody, kiedy usłyszała z podwórza jej przeraźliwy krzyk. Po chwili do kuchni wpadła jej wychowanka, załamując ręce.

– Anne Shirley, co znowu się stało?

– Och, Marillo, co ja najlepszego zrobiłam?! To straszne, i w dodatku sama jestem wszystkiemu winna! Ach, czy ja kiedyś nauczę się choć trochę myśleć, zanim coś zrobię? Pani Lynde zawsze mówiła, że pewnego dnia się doigram, no i miała rację!

– Ty naprawdę umiesz doprowadzić człowieka do rozpacz! Cóżes tym razem zmalowała?

– Sprzedałam panu Shearerowi dżersejską krowę pana Harrisona! Tę, którą kupił od pana Bella. A Dolly stoi sobie spokojnie w zagrodzie.

– Anne, coś ci się chyba przyśniło.

– Niestety, to nie sen, chociaż rzeczywiście przypomina senny koszmar. O tej porze krowa pana Harrisona musi już być w Charlottetown. Och, Marillo, myślałam, że już skończyłam z tego rodzaju kłopotami, a tymczasem znów wpadłam po same uszy! Co ja teraz zrobię?

– Co zrobisz? Chyba nie ma innej rady, jak tylko pogadać z panem Harrisonem. Możemy oddać mu pieniądze, a jeśli nie zechce, to zaproponować naszą krowę w zamian. Jest prawie taka sama jak ta jego.

– Na pewno będzie się wściekał – jęknęła Anne.

– Nie wątpię, on w ogóle jest nerwowy. Jeśli chcesz, to ja do niego pójde.

– O nie. Aż taka podła nie jestem. Sama nawarzyłam tego piwa, więc nie pozwolę, żebyś się za mnie narażała. Pójde tam, i to natychmiast. Im szybciej to załatwię, tym lepiej, bo pewnie czeka mnie straszne upokorzenie.

Biedna Anne wzięła kapelusz, dwadzieścia dolarów i ruszyła do drzwi. Już wychodziła, kiedy przypadkiem wzrok jej padł na otwartą spiżarnię, gdzie leżał upieczony przez nią rano placek orzechowy. Przybrany różowym lukrem i włoskimi orzechami, prezentował się bardzo apetycznie. Anne przeznaczyła go na piątkowe zebranie Koła Entuzjastów Avonlea, które tym razem miało się odbyć w Zielonych Szczytach, ale cóż znaczyło jakieś zebranie w porównaniu ze słusznym gniewem pana Harrisona? Takie domowe ciasto zmiękczyłoby serce każdego mężczyzny, zwłaszcza takiego, który sam gospodaruje... Szybko zapakowała placek do pudełka – zanieś go sąsiadowi w charakterze gałązki oliwnej.

„Znaczy jeśli tylko da mi dojść do słowa – myślała ponuro, przełaząc przez płot i podążając skrótem przez pola wyłożone w sennym sierpniowym słońcu. – Teraz przynajmniej już wiem, jak czuje się skazaniec prowadzony na ściecie”.